



# PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

## Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

## Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## WIDZENIE.

Przekład z Juliusza Barbier.

Zasnąłem i ujrzałem w snów moich przymacie  
Oltarz. cieniem zamroczony;  
Mimo, tłumem bez liczby, płynęły postacie  
Z wyciągniętymi ramionami.

Wszystkie promiennych blasków jasną tęczę mia-  
Świecąca nad czołem w górze; [ty,  
Jako trzoda odarta z run swych wełny białej  
Wszystkie w krwawej szły purpurze.

Byli tam dumni starce z długim włosem siwym,  
Z berłami w prawicach drżących,  
Jak ci, których śmierć zaszła w dniu grozy straszli-  
Na rzymskim forum siedzących, — [wym

Były piękne młodziany z czołem podniesionem,  
Z śmiałem sercem w piersi dzielnej;  
Na ustach drżał im jeszcze w pół przerwanym to-  
Swobody hymn nieśmiertelny. [nem

I były ciała jakieś, czarne błota kałem,  
Włos ich w piasku utarzany:  
Gnane i bite długo fal i wichrów szalem  
O daleki brzeg nieznany.

Byli święci, skrwawieni od tortury koła,  
Mędrzy w zniewagi koronie;  
Wieszczę, co unierając nieśli dłoń do czoła,  
Mówcy z krwawą raną w łonie.

Potem pary kochanków, potem szedł tłum matek,  
Wlokąc synków za ramiona;  
Wreszcie gromadka małych, rozplakanych dzie-  
W zdychająca i zmęczona. [tek,

A wszystkie, wszystkie owe sunące się mary  
W czerwieni krwawych szkarłatów,  
Wszystkie wołały razem o myto ofiary  
Do Boga — Pana wszechświatów!....

M I.

## ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd—Kępieński.

Hrabinie Annie z Dąbskich Juliuszowej  
Dębickiej

na pamiątkę przesła

AUTOR.

W drugiej połowie Sierpnia r. p. 1768 dolina nad Rabą dziwną prawie pustynną przedstawiała ciszę, chociaż mieszkańców tutejszych nie dotknęły jeszcze klęski i pożoga wojny, coraz się bardziej szerzącej po kraju. Wszystko tu jakby

zamarło, po gościach i drogach ustał ruch wszelaki, ustały roboty na łąkach, złociste kłosa, z przejrzałym ziarnem, smutno ku ziemi się patrzyły, daremnie czekały na żniwów, a lud, przybity i smutny, z trwogą nasłuchiwał wieści dochodzących zdaleka, które w miarę odległości przybierały coraz potworniejsze kształty. Powody zamarcia w gwarnej i ruchliwej przedtem okolicy były naturalne; wiadomo z historii, że kiedy ruch hajdamaków na Ukrainie coraz się więcej rozszerzał a Zeleźniak, Gonta, Szydło i Bondarenko brodzili po kostki w krwi „laszej“, wtenczas marszałek związkowy Pułaski (Józef), licząc się z nieopatrznie wzburzonym żywiołem, wydał „uniwersał“ oświadczający hajdamakom przychylność i przyjaźń a wskazujący „dyssydentów“ jako wrogów tak katolickiej jak prawosławnej religii a więc niegodnych obrony konfederacji, która walczy „w imię świętej katolickiej wiary“<sup>1)</sup>. Krok ten niepolityczny a co najmniej nietaktowny, wywołał ze strony niektórych oddziałów konfederacji bezprawia, rzucając krwawą plamę na ich sprawę w szlachetnym celu podjętą, wywołał prześladowanie rodów kalwińskich i ewangelickich, a chociaż sumienni marszałkowie lub regimentarze surowo wzbraniali podobnych nadużyć, to przecież trafiały się przykłady okrutnego postępowania konfederatów<sup>2)</sup>, którego ofiarą padali „dyssydenci“ zupełnie niewinnie a tylko wskutek nienasyconej chuci krwi, mordu i pożogi, jakimi się w całej zaciętości odznaczała ta nieszczęsna wojna. Nic więc dziwnego, że kiedy nad Rabę doszły wieści o owym uniwersale pana Pułaskiego, zebrała się na naradę tutejsza, prze-

1) Szujskiego „Dzieje Polski“ t. IV. str. 439.—Crantz: „Das conföderirte Polen“ 1771.

2) Przytoczymy tu tylko rodziny Golezów, Grabowskich, Żychlińskich, Barnerów i t. d.



ważnie „dyssydencka“ szlachta, wskutek której kto mógł wysyłał rodziny w bezpieczniejsze strony, najczęściej do Szlązka lub też do miasta pod opiekę jakiej władzy, — kto mógł wstępował do wojska, a wszyscy rzucali swe gniazła rodzinne, nie wiedząc, czy je kiedy w swem życiu zobaczą. Tak więc stanęła nad Rabą cała okolica pustką; dwory, dawniej wesole i gwarne, tuliły się dzisiaj senne w zacisze ogrodów i sadów, wystraszeni włościanie zamykali się w chatach, nie dbając na jasne słońce, które im świeciło, trwożliwi opuszczali sioła, kryjąc się po lasach albo rozkładając po świecie, a dzwony kościelne jęczały żałobnie, daremnie na służbę Bożą wzywając parafian. Jakaś smutna, poważna cisza zapanowała na całej przestrzeni, powietrze przesiąkała jakaś tajemnicza groza, niby zapowiedź ciężkich burz, niby prośroctwo wypadków, brzemienych w zniszczenie, pożogę i rzezie. Kiedyniekiedy pojawił się w przydrożnej karczynie żyd lub jakiś handlarz wędrowny i opowiadał dziwy wystraszonemu ludzom, to — że, niedaleko Sandomierza napotkał hurmę szlachty, lecącej cwałem z dobytymi pałaszami w rękę i rozwiniętym sztandarem, na którym widział śniade oblicze Matki Boskiej Częstochowskiej; to że pod Pilzmem spadły nieznane wojska, niby dzikie ptactwo na moczary, pałac, mordując i rabując wszędzie; to znowu inny zapewniał, że gdzieś koło Sącza przyszło do okrutnej walki, która zostawiła po sobie stosy ciał nieopogrzebanych i całe kałuże czarnej, skrzepłej krwi. Jakby na potwierdzenie tych ponurych wieści, gorzało często niebo krwawymi łunami, zdarzało się, że i we dniu przy blasku słonecznym wznosiły się, niby z ofiarniczych stosów, czarne słupy dymów ku błękitom niebios, jakby u Opatrzności zebrząc, ażeby uchroniła od dalszych mordów i pożogi nieszczęsną krainę. Czasem przyniosła Raba kilka pokaleczonych trupów, odartych z odzienia, albo parę belek spalenizny; to znowu rozlegał się głuchy tętent i wściekłym pędem przeleciało kilka koni w kulbakach bez jeźdźców, rżąc żałośnie, albo rycząc z bólu, rzucając za sobą czerwone strugi posoki z odniesionych ran — a lud, widząc to wszystko, korzył się i jęczał i szukał pociechy w niemej rezygnacji, albo w gorącej i łzawej modlitwie.

Był wszakże dom jeden, który mimo całej grozy położenia i upadku na duchu w tych stronach, pomimo zbliżających się niebezpieczeństw, nie opuścił domowego ogniska, ale owszem sięgnął ku niemu z dalekiej Warszawy. Był to dom pułkownikostwa Wielowiejskich, herbu Półkozic, w Zborzycach.

Zborzyce, wieś duża i dosyć zamożna, rozciągnęła się na potężnym garbie, który rozgranicza dolinę Wisły z doliną Raby, obsiadłszy obustronnie jego pochyłości z jednej ku Wiatowicom, z drugiej ku Staniątkom, dwóch zaś pułkownika umieścił się tak szczęśliwie na stoku pagórka, że od wschodu rozciągał się z niego widok aż gdzieś poza Rabę, od zachodu zaś cała dolina nadwiślańska leżała u stóp jego, jakby na dłoni.

Ciemnym sosnowym lasem prowadziła droga do onego dworu, wszakże na kilkaset sążni przed bramą wjazdową przerywał się las a topolami wysadzona ulica wskazywała każdemu, gdzie go oczekują gościnne progi pułkownika. — Droga, o której mówimy, była natenczas głównym „wołowym“ traktem, prowadzącym ku Krakowu od granicy Węgier przerywała ona ogromną równinę nad Rabą, a minawszy niewielką mięcinę Niegowic, spinała się na ogromnym pagórku ku Krakuszwowicom, z kądem przez Zborzyce spadała ku Staniątkom i pod wielką murowaną karczmą, zwaną „Bolechówka“, łączyła się z drugim „wołowym“ traktem, prowadzącym od Rusi przez Jasło, Tarnów i Bochnię do dawnej stolicy Zygmunta.

Dzięki temu położeniu, rozsiadły przy samym trakcie dwóch pułkownikowski cieszył się zawsze gościem dosyć częstym; nie przyjechał tu bowiem kto z sąsiedztwa albo z bliskiego Krakowa, to zawadził ktoś z przejeżdżających, aby konia popaść, odwilżyć gardło zaschnięte w podróży i ucieszyć się wesolą kompanią, której prawie nigdy w Zborzycach nie brakło. Bywali tu bowiem wszystcy i dygnitarze warszawscy, z którymi pan Antoni, jako adjutant króla jegomości, miał częste relacje;

bywała szlachta, karmazyny z sąsiedztwa, albo i z dalszych okolic; bywali wojskowi jako u swego kolegi; bywali i co godniejsi palestranci, — zgoła: dwóch zborczycki sływał na całe województwo, ba, na całą Polskę, ze swojej gościnności. Sam pułkownik był panem uprzejmym i nad wyraz gładkim; umiał każdego sobie ująć, każdemu dogodzić, dla wyższych był grzecznym, dla niższych pobłażliwym wielce i, jak liczył z pewnością tysiące znajomych a setki przyjaciół, tak trudno było znaleźć takiego, coby mu był wrogiem. Ale, że i na słońcu znajdują ludzie plamę, opowiadano więc sobie na ucho, że pan Wielowiejski, aczkolwiek miły i serdeczny człowiek, to przecież na punkcie *publicarum rerum* był wielce niepewny, — że na dwóch stołkach zwykł był siadywać, a i teraz kiedy się poczęła szlachta na potęgę ruszać i zawiązywać po województwach konfederacje, to pułkownik, chociaż zawezwany, nie stawiał się na zjeździe w Krakowie, gdzie obrano marszałkiem pana Czarnockiego, ale wzięwszy, dla pozornie trapiącej go choroby, urlop od króla, z Warszawy wyjechał i w swoich Zborzycach przycupnął. Konfederaci zarzucali tedy Wielowiejskiemu jego abstynencją, stronnicy zaś królewscy mieli mu to za ujmę, że się nie manifestował przy królu i jako jego przyboczny adjutant przy nim nie zostawał albo nie ciągnął pod znaki pana łowczego koronnego, który z konfederatami staczał walki od kilku miesięcy. Zgoła, opinia pana pułkownika poczęła nie na żart szwankować. Jedni chcieli go mieć odstępca, inni podszytego tchórzem, co na wzór owego warszawskiego pana mundur tylko nosił i szablą pobrzakiwał na czasy parady; inni widzieli w nim znowu kunktatora albo dyplomatę, co nie wymiarkował jeszcze: kędy się przerzucić, — a ta dwoistość opinii wpływała najgorzej na popularność pana pułkownika, bo regaliści wietrzyli w nim zakapturzonego konfederata, owi zaś w owczą skórę przybranego regalistę. Cierpiały na tem ściany zborczyckiego dworu, od pewnego czasu puste, jakby wymiół, cierpiał i sam Wielowiejski codzień w kwaśnym humorze, cierpiała pułkownikowa, lubiąca gości i zabawę, a już najwięcej pan Junosza Druźbic, na opiece pułkownika będący podstolic rawski — nie dość, że młody, pełen ognistej fantazyi kawaler, rwał się do boju a musiał siedzieć w Zborzycach, niby mnich w klasztorze, ale muszony był na dobitkę grywać w druźbarta z umierającym z nudów pułkownikiem albo z panią Różą, której to gry — jak i tego spokojnego życia z całej nienawidził duszy.

Tak stały rzeczy, kiedy dwudziestego czwartego Sierpnia roku 1768 po kilkudniowej słocie zajaśniał dzień pogodny w całej wspaniałości, a jasne słońce rzucało złociste smugi na weneckie okna zborczyckiego dworu, oblewając strumieniami światła wyniosłe szczyty odwiecznego lasu, który go otaczał. Pułkownik wyszedł właśnie z Druźbicem do ogrodowej altany, wystawionej umyślnie, dla pięknego widoku, na stoku pagórka, z pod którego rozszerzała się, jakby jajem potoczył, dolina nad Rabą. Trudno sobie wyobrazić wdzięczniejszy i bardziej uroczy krajobraz, od tego, jaki mieli przed oczyma nasi towarzysze. Na szerokiej płaszczyźnie, ujętej, niby w potężne ramy, w wyniosłe pagórki strojne w szmaragdowe barwy tajemniczych lasów, rozsiane dwory i sioła błyszczały od słońca białymi ścianami, odbijając wesoło na tle różnowzorej zieleni bujnie rosnących drzew i gęsto zbożem falujących łąków — w dali siniejąca Raba wyginała się kapryśnie w przeróżne zakręty, niby ogromna, srebrna, pomotana wstęga, a tuż na dolinie wychylał się z zieleni parafialny kościół w Niegowici o śmiało ku błękitom strzelającej wieży, zacieniony ciemnym modrzewiem i rozrosłymi dębami, tulącemi pod swoje konary liczne mogilne kurhany, opasane murem cmentarnym dokoła.

Aczkolwiek przyzwyczajony do tego widoku, pułkownik, kiedy teraz zobaczył ten sielski obrazek, nie mógł się powstrzymać od mimowolnego podziwu.

— Patrz, pod stokiem — rzekł, trącając Druźbica w ramię — jaki to śliczny kawał ziemi. I pomyśleć sobie, że i tu niedługo dosięgnie nas wojna a z tych pięknych wiosek pozostaną zgłiszczca...

— Może Bóg uchowa przecie — odparł zamyślony Druźbic.

— Trudno w to uwierzyć. Wczorajsze relacje, które odebrałem z Krakowa, mówią najwyraźniej, że się tu u nas zanosi na zawieruchę nie lada. Te strzały, cośmy przedwczoraj słyszeli, wiesz co znaczyły panie podstolicu? To regaliści ze sprzymierzeńcami zajmowali Kraków, a pan wojewódzie wołyński Potocki, co to regimentarował sandomierskiej szlachcie, i nasz marszałek krakowski, pan stolnik stężycki, razem z sześciuset szlachty poszli w kajdanki zwycięzcy. Ale to nie koniec: zda mi się raczej początek dopiero, bo poczciwi Sanoczanie ślą ku Krakowu księcia Marcina na czele 1.500 ruchawki, z Sieradzkiego rusza się ku nam Bierzyński, z Gostyńskiego Dzierżanowski, z Wieluńskiego pono Morzkowski i Szembek. Gadają też i o Litwie, że się na potęgę rusza, a co wiem z pewnością, to, że Lettow zbiera komendy dragonów i konnych gwardyaków od samego Rzeszowa aż do Sierosławic maszerują ku Proszowicom, aby się z panem Jordaniem połączyć. Boże uchowaj, ale niedługo skosztujemy tych delicyi, jakie niesie wojna.

— Bo też pozwoli JWny pułkownik dobrodziej — podnosząc głowę, wtrącił śmiało Druźbic — że jako żywo zupełnie niepotrzebnie kwaterujemy w Zborzycach. Zaliż nie składniej wyruszyć nam w pole, a jwna pułkownikowa mogłaby w Krakowie, albo, jak, dawniej, w Warszawie zamieszkać.

— At, zachciałeś Wasze — niecierpliwie Wielowiejski przerwał — więc gdzież mamy ruszać? czy z takim warchołem... jak ksiązę Marcin Lubomirski lub z takim chiystkiem... Bierzyńskim, albo takim obieżyświatem, jak pan Dzierżanowski? i tak jak oni wszystcy grasować po kraju, pić, hałasować i na króla wrzeszczeć? Toż to jest *salus reipublicae ac religionis*, o którym oni ciągle krzyczą! Tfu, co Wasze pleciesz? Ta cała konfederacja naboju prochu nie warta, a konfederacy rycerze — to niesforne kupy, nie warte nawet nazwiska żołnierza.

Skonfundowany Druźbic zamilkł na takie *dictum* o konfederatach, do których sprawy, jako katolik, przyglnął był całą duszą, uszanowanie wszakże dla opiekuna, który mu od dzieciństwa zastępował ojca, nie pozwalało rozpoczynać sprzeczki. Spasował tylko aż po same uszy, tłumionym ogniem lśniły mu oczy, które dla kontenansu utkwiał w dalekiej przestrzeni, kłusując do krwi język, bo już go świerzbiał okrutnie. Ale niedługo mógł Druźbic wytrzymać: krew z natury gorąca brała nad rozwagą górę.

— Daruje JW. pułkownik — ozwał się po chwilowej ze sobą walce, drżącym z oburzenia głosem — ale sprawa, na której czele stoją Potoccy, Kraśnscy, pan hetman Branicki, z którą się *unanimiter* całe województwa łączą, którą się monarchowie zagraniczni zajmują, — taka sprawa burda być nie może.

Pułkownik poruszył się gniewnie i już miał odpowiedzieć cierpką na języku, kiedy Druźbic, patrzący w stronę Niegowici, ręką od słońca oczy przysłonił i krzyknął:

— Tam do kata, przepowiednia JW. pułkownika sprawdza się co do słowa...

— Abo co takiego? — przerwał Wielowiejski.

— Jakies wojska ciągną gościncem od Bochni. Pułkownik drgnął, powstając z ławki.

— At, bredzisz Wasze, przywiduje ci się — rzekł, z niedowierzaniem wpatrując się w gościnniec, za wskazówką Druźbica — a prawda, w istocie i skręcają ku Niegowici, a więc na Zborzyce idą. Skocz-no Wasze po instrument: przyrzemy się lepiej: kogo Bóg prowadzi, czy nie jaką partya...

Druźbic pobiegł pędem, a pułkownik wpatrywał się z niepokojem w długą, szarą linią, snującą się swolna w dalekiej przestrzeni, niby przeguby olbrzymiego jakiegoś potworu. Pomimo bystrego oka, nie mógł atoli poznać Wielowiejski, co to były za wojska, idące, jak z regularnej linii poznać było można, nie wzorem ruchawki luźną i niesforną kupą, ale w skupionym ściśle przestrzegany wojennym ordynku. Na drodze, jak na złość, z powodu kilkudniowej słoty, nie było ani śladu kurzu, to też nie było można poznać, czy



to piechota, czy jazda, za którą, jak wiadomo, wyżej kurz się wznosi.

Korzystając z oczekiwania na lunetę, przypatrzyliśmy się bliżej postaci pana pułkownika. Był to mężczyzna w sile wieku, bo mógł najwyżej czterdziści pięć lat liczyć; regularne rysy przy długiej trochę twarzy, zdradzającej przesył i zmęczenie, zaokrągląła pudrowana peruka ufrzywana *à la coq* ogromnym tupetem, odsłaniając wysokie czoło, zpod którego błyszczała para czarnych ognistych oczu, świadczących wymownie, że w tym wyburzeniu życia przywiedłym mężczyźnie tkwi jeszcze energia szlachetnej krwi i kawalerska fantazja. Ubrany zawsze starannie, miał i dzisiaj pułkownik na sobie domowy strój francuzki, pełen wykwintu i elegancji. Inaczej wyglądał podstolic, który w tej chwili nadbiegał z lunetą. Dwudziestodwuletni młodzieniec, wysokiego wzrostu, o silnie w plecach rozwiniętych kształtach, tęgi całą głową, niby młody dębeczak z twarzą okrągłą, dobrze ogorzałą, ze świeżymi, jak wiśnia, ustami, nad którymi się puszył jasno-żółty wąsik, był Jędrus Druźbic typem wiejskiego młodzieńca, którego nie sięgnęło jeszcze zepsucie stołeczne. Gęsta, krótko przycięta czupryna odsłaniała trochę niskie czoło, z którego wiała poczciwa dobroduszość i szczerłość, a jasnobłękitne oczy, wysadzone, jak cebule, na wierzchu nie odznaczały się ani inteligencją ani szczególnym dowcipem, ale miały wyraz naturalnego sprytu obok zdeterminowanej odwagi i stanowczości w działaniu. Zgoła, była to jędrna muskularna postać dziarskiego młodzieńca, którego potężna ręka zdradzała zdolności tegiego rębajły, — był też to siłacz zawołany, który najteższym chłopem rzucał jakby piłką, a co do szabli, to z najpierwszemi fechtmistrzami mógł chodzić o lepsze. Strój miał na sobie polski i nad wyraz skromny, a składał go jasny żupan, ujęty w modry pas jedwabny, i jasne szerokie hajdawery, wpuszczone w marszczone buty kozłowe. Ojca nie zaznał nigdy, a kilkolatnią dziecinę opuściła matka i gdzieś zginęła we świecie, że zaś nie było nikogo bliższego, zajął się więc małym sierotką młody podówczas jeszcze Wielowiejski, a później, kiedy się ożenił i własnych nie oczekwał się dzieci, ukochał Druźbica, jak własnego syna. I trzeba było koniecznie kochać podstolic, bo serce miał złote, przeczny charakter, najpiękniejszą duszę; jednego wszakże pan Bóg mu odmówił: a to bystrości umysłu, z którego ani przemądry Alwar ani dyscyplina OO. Jezuitów wykuć nic nie były w stanie. Był też dobrodusznym i łatwowiernym do zbytku, wierzył każdemu na słowo i łatwo się zapalał do wielkich przedsięwzięć. Kiedy dorastał, sprowadził pan Wielowiejski, ówczesną modą, do niego Francuza, który go wyuczył parlować, a nabywszy w domu pułkownikostwa światowej oglady, był podstolic na owe czasy całkiem kawalerem i przez nie jedną matkę pożądanym kandydatem na zięcia, zwłaszcza, że odziedziczył po ojcu dwie wioski dostatnie, które na teraz wypuszczał w dzierżawę. Nie małżeństwo wszakże było Druźbicowi w głowie: gorąca krew burzyła w się żyłach młodzieńczych a zamilowany od dzieciństwa w żołnierce, rwał się w dojrzalszym wieku do służby wojskowej, tem więcej, że się nauczył od Francuza przeróżnych fint, pełnić i pozowań z używaną wtenczas przez paniczów szpadą, jak znowu od starego Maunsteina, instruktora w gwardyi konnej, — cudownych sekretów w robieniu rapirem i szabłą. Ale na przeszkodzie rycerskiemu animuszowi Druźbica stanęła nieugięta wola pułkownika, nie chcącego narażać swojego pupilla na kosterstwo, pijaństwo i inne tym podobne grzechy, jakie podówczas na umór grasowały między wojskami... Kiedy zaś wybuchła owa konfederacja, zawiązana w Barze, a tak gwardya koronna jak i regimenty cudzoziemskiego autoramentu, pod wodzą łowczego koronnego wyciągnęły w pole i kiedy podstolic rwał się do boju niby sokół z klatki, — wtenczas pułkownik położył swe stanowcze *veto*.

— Dopóki ja żyję — rzekł cierpko na gorące prośby podstolica — nie będziesz Wasze z nieprzyjaciół kraju odprawiał praktyk wojennych na skórze twych braci: nie chcę ja, abyś mi kiedy wyrzucał, że pierwsza krew na twoim kordzie trysnęła z rany współobywatela. Na teraz sza;

nie czas jeszcze do takiej roboty; zdarzy się pora, to powiem, a da Bóg, sam Waści do boju powiodę.

I wybrawszy się z Warszawy, wywiózł podstolic, żądając od niego kawalerskiego parolu, że się bez jego wiedzy na wojnę nie ruszy; ale tego nie mógł wymódz na swoim pupilla, który parolu dać nie chciał, składając się tem, że nie wie, co go zaskoczy może w tak burzliwych czasach. Dlatego też pilnował go pułkownik, jak własnego oka; ale na nicby się nie zdało owo pilnowanie, bo gdyby się zdarzyła tylko korzystna sposobność, drapnąłby z pewnością podstolic z opiekuńczych objęć. A i dzisiaj na tę myśl samą, że zobaczy wojsko, że posłyszysz chrzęst szabel, albo sygnały wojenne, śmiały się Druźbicowi oczy a serce tak mu się tłukło w piersi, jakby wyskoczyć chciało od wielkiej radości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## LIST Z RZYMU.

(Dalszy ciąg).

Cairoli był człowiekiem tejsamej epoki co Amari. Te same wpływy, działając na ich młodość, urabiały ich ducha i jednaka też idea przewodnia była gwiazdą ich życia. — Italia! — Italia! to ich odzew: hasło i pobudka wszystkich ich czynów i myśli, której oddali życie, jakkolwiek mogli się być różnić temperamentem i tradycjami, bo gdy Amari był synem wulkanicznego gruntu Sycylii, Cairoli pochodził z Włoch górnych, z Padwy, gdzie urodził się w 1825 r., ale tam wulkan był w piersiach ludzkich, a w rodzinie, z której pochodził, płomień palił się zawsze pod popiołem.

Jeżeli przyjść na świat z rodziców szlachetnych jest szczęściem i zaszczytem, to Benedetto Cairoli mógł się zaliczać do wyjątkowo obdarzonych od losu, bo tu tak ojciec, jak matka, należeli do najpiękniejszych postaci z czasów odrodzenia się Włoch. Ojciec, Karol Cairoli, był professorem uniwersytetu w Padwie; matka, Adelaida, z domu hrabianka Bono, córka Benedykta Bono, wysokiego dygnitarza w rządzie królestwa włoskiego z czasów Napoleona I-go, należała do tych kobiet wyższych, jakich tradycję posiadają Włochy. Oboje małżonkowie byli ludźmi niepospolitej inteligencji, a nadewszystko uczuć gorących i dom, otwarty dla wszystkich uczciwych i dobrze myślących ludzi, był ogniskiem, gdzie serca młodzieży brały w siebie zapał uczuć szlachetnych, a umysły otrzymywały kierunek pożądanym. W 1848 r., gdy obywatelska praca Włochów nie zamykała się już wyłącznie w murach akademii i u ognisk rodzinnych, Karol Cairoli przyjął ważny urząd *podesty*, to jest prezydenta Padwy, a czterech jego synów, wszystko młodzieniaszków, zaciągnęło się pod chorągiew włoską: wszło do milicyi i tak zwanych: „hufców pomocniczych“ które stały się zaczątkiem legionu, walczącego potem z Austryą przez całą kampanię 1848 r., a w którego szeregach młody Benedetto tak się odznaczył mężstweniem nieustraszonem i zapalem, który nazywano „furia italiana“ że król Karol Albert mianował go officerem i nazwisko jego zostało ogłoszone przed frontem jego pułku, jako mężnego rycerza sprawy włoskiej.

Garibaldi wystąpił też wtedy na widownię sprawy włoskiej, ofiarował usługi swoje królowi; ale względy politycznej natury kazały Karolowi Albertowi usługi te odrzucić, i wtedy-to Cairoli ojciec wystawił kosztem swoim oddział ochotniczy, złożony z 400 dzielnych, na śmierć i życie idei swej oddanych, ludzi i oddał ich pod rozkazy Józefa Garibaldi'ego, który walczył z Austryą na ich czele, aż do możliwego kresu wojny, bo nawet przeciągając to po poddaniu się Me-

dyolanu. Gdy przecież wybiła ostatnia dla tego ruchu godzina, Karol Cairoli nie powrócił już na dawne swe stanowisko naukowe i osiadł wraz z synami w Piemencie, gdzie rodzina posiadała znaczne dobra, wiano matki, dzielnej jak ta, która dała światu Grachów. Karolowa Cairoli nigdy nie powstrzymała ręki męża, gdy ten czerpał dla niej pełną z jej mienia na potrzeby ogólne, tak jak nigdy macierzyńska jej miłość nie stawiała synom przeszkód na drodze poświęcenia się dla rzeczy publicznej, i dziś też Włochy postępują słusznie, stawiając matkę tuż synów przy oddawanych im aktach czci narodowej.

W drugiej wojnie z Austryą, która zakończyła się okrutną klęską pod Novarą, Benedetto znajdował się znowu wraz z braćmi w szeregach ochotników trydenckich. Wraz z upadkiem sprawy, ciężki kir załoby na tę rodzinę mężnych i gdy Cavour wołał z rozpaczą: — „Plunąłem na moje życie... Carlo Cairoli popadł z boleści nad rozchwianiem się nadziei swoich w melancholię, która zagryzła go wkrótce i umarł z rozpaczy, a wtedy Benedetto, jako syn najstarszy, stał się naczelnikiem rodu, przyjmując wraz z tem stanowiskiem spadek uczuć ojcowskich.

Przyjął go cały, bez dobrodziejstwa inwentarza i od 1850 roku służył sprawie włoskiej na wszelkich polach walki z Austryą skrytych i jawnych, przechodząc też w rezultacie przez wszystkie fazy doli i niedoli takich położań: więzień, zbieg, wygnaniec, mając przecież wśród tego zawsze mu towarzyszące błogosławieństwo matki, która cierpiała tak przez wszystkich swoich synów, że była chwila, w której zawołała z rozpaczą: — „Ach! — mnie nie jeden, jak Tobie, Bolesna Matko Boska, ale cztery miecze serce przeszywają!..“

Gdy nadchodził rok 1859, a król Wiktor Emanuel przez usta Cavoura dał wiedzieć ludziom mężnej woli, że zbliża się wojna z Austryą, kobieta ta wielkiego serca dała z własnej szkatuły 40.000 lirów synowi, a ten, złożywszy te pieniądze przez ręce Visconti'ego-Venosty na potrzeby przyszłej kampanii, stanął w szeregach organizującego się wojska natychmiast, gdy wojna z Austryą wybuchnęła, mając obok siebie trzech braci swoich: Ludwika, Henryka i Ernesta. Ten ostatni poległ zaraz wkrótce na polu bitwy dwaj młodszy mieli też śmierć takąsamą, na innych tylko pozycjach walki za Włochy i ideę, którą wyznawali.

Choć pokój w Villafranca zakończył kampanię, on nie złożył przecież oręza. Walczył jeszcze dla połączenia z Włochami Królestwa Obojga Sycylii, potem bywał ministrem, ale ta namiętna w ukończeniu swych natury, pełna uczuć gorących obok stoickiej prostoty, mniej się nadawała do sterowania polityką. Serce ciągnęło go też ku tym gwałtownikom namiętym, w których miłość Włoch przeradzała się w pogaństwo — towarzysze to byli jego z czasów walki o wyzwolenie Włoch, i ten stan uczuć przeszkadzał mu do spełnienia energicznie swego wysokiego urzędu prezesa ministrów. Gdy przecież zapalenie szalone, Passamante rzucił się w Neapolu na króla Humberta ze sztyletem, on pierś swoją nadstawił i raz w nią przyjął, zawsze zarówno szlachetny i zdolny do poświęcenia — zawsze stawiający wyżej obowiązek, niż interes własny.

Król Humbert i królowa Małgorzata czuli też dla niego obok wysokiego szacunku, jak dla poświęconego syna włoskiej ojczyzny, wielką wdzięczność za uratowanie życia królewskiego, z narażeniem własnego. Gdy choroba — choroba serca, której zaród powstał wśród wielkich wstrząśnień jego bohaterskiej przeszłości — nakazywała mu spoczynek, król oddał mu na mieszkanie przeszliczną swoją rezydencją letnią pod Neapolem: villę Capadimonte, gdzie zamknął oczy, a wdowę jego otoczył gorące współczucie Włoch całych i pogrzb był tak świetnym — ściągnął takie tłumy ludzi, że przedstawiało to już akt czci narodowej złożony pamięci człowieka wielkiego serca.

Nie był to przecież ostatni wyraz tych uczuć ze strony Włoch. W dniu 8 Września, w Niedzielę, odbyła się w Rzymie wielka uroczystość, poświęcona uczczeniu jego pamięci: wielka uroczystość niepospolitej wspaniałości. Było to coś jak tryumfalny wjazd wielkich imperatorów lub kon-



sulów zwycięzców, gdy przez *Via Sacra* ciągnęli na Kapitol. Rydwan taki, jakim się posługiwano przy uroczystościach tego rodzaju, ciągniony przez sześć rumaków w starożytniej, paradnej uprzęży, z dzwonekami i pieropuszami u bów, wioził na postumencie z czarnego marmuru popiersie zmarłego, wśród rozmaitych godeł i trofeów: były tam po bokach dwa staro-rzymskie ołtarze ofiarne, z których podnosił się wonny dym palących się kadzideł, były dębowe gałęzie, broń, strzelby, pałasze, dwa działa — armatki starożytne — a ponad tem orzeł rzymski — orzeł kapitoliniński — z rozpostartymi skrzydłami, jakgdyby się zrywał do lotu, poza tem wielka gromada ludzi, reprezentujących stowarzyszenia, spółki rozmaite i sto dwadzieścia chorągwi powiewających wspaniale — poza tem tłum ogromny. Ciągnęło to od placu *del Popolo* przez *Corso* ku Kapitolowi, który był cały we flagach, w draperyach, z godłem wilczycy karmiącej Romula i Rema.

Rada miejska czekała przy posągu Marka Aureliusza. W przedsiönku Kapitolu, obok postumentu okrytego purpurą, na której miał stanąć posąg, syndyk Rzymu, margrabia Giuiccioli, czekał obok syna Garibaldi'ego. Menotti Garibaldi powitał kommissyą uroczystości mową silnie patryotyczną, w której uczcił szczególnie matkę zmarłego przyrównaniem do jej Kornelii, matki Grachów. Kobieta ta za zasłużyła na to i sprawdzają się na niej słowa Napoleona I, wyrzuczone do M-me Campan, że „Każdy wielki człowiek miał wielką matkę“.

Jakkolwiek zasługi tego, któremu oddawano tę cześć publiczną, były dla ojczyzny włoskiej niemałe, niemniej skala uroczystości była nieco za wysoko nastrojona; ale ten stary grunt ma to do siebie, że się na nim wszystko do wielkich rozmiarów podnosi. Każda użyta tu forma daje to: przeszłość zdaje się powstawać z grobu i rozwieszać swój płaszcz konsularnej, imperatorskiej purpury.

Powagę uroczystości zmącił niemiły wypadek. Popiersie zmarłego, przysrubowane było do wozu, aby się na nim w czasie drogi, zwłaszcza na strome kapitolinijskie wzgórze nie chwiała; otóż nie dało się ono potem zdjąć z rydwanu i akt ustawienia go na przygotowanym wyniesieniu musiał zostać odłożonym, co zepsuło efekt najuroczystsze go momentu ceremonii.

Obecnie zamach na Crispi'ego zajmuje tu najmocniej uwagę publiczną, jakkolwiek jest już rzeczą stwierdzoną, że polityka nie miała tu najmniejszego udziału, a tylko nieszczęśliwe spaczenie pojęć i doktryny socjalistyczne. Ludzie tu tejsi nie otrząsnęli się jeszcze dostatecznie z tłoczącego im pierś ciężaru długowiekowej nędzy narodowej i potrzeba im też ciągłej manifestacji swoich uczuć, co wyraża się przez nieustające uroczystości i akta czci dla tych, którzy im odwalili z piersi kamień grobowy. Więc też wznosi się tu wciąż mnóstwo pomników, posągów i w Południowych Włoszech, w miasteczku Lecce miało nastąpić w połowie ubiegłego miesiąca odsłonięcie posągu *Il Re Liberatore*, na którą to uroczystość udawał się tam król, wraz z królewiczem i Crispi, podążając za nimi, zatrzymał się w Neapolu, gdzie gościł czas jakiś z rodziną, z żoną, teściową i z córką jedynaczką, Pepitą, którą Crispi bardzo kocha.

Pierwszy minister zamieszkiwał na *Corso Wiktora Emanuela*, przecieź udano się raz spacerem nad morze, jechano szeroką, ludną, wspaniale piękną *Via Caracciolo*, Crispi z córką przodem w odkrytym powozie, a za nimi w drugim pani ministrowa z matką swoją, gdy nagle poskoczył ku pierwszemu jakiś młodzian w ubraniu ludowem i z rozmachem rzucił w Crispi'ego dużym płaskim odłamem marmuru, z jednej strony ostro szpiczastym. Wiecie już niewątpliwie z dzienników, najpierw, że trafił, następnie, że rana, głębokie przecięcie policzka koło ust, nie okazała się niebezpieczną; niemniej krew lunęła natychmiast, przecieź mimo to Crispi zerwał się na nogi i stanął z podniesioną laską, zastaniając córkę, bo dostrzegł u napastnika ruch, zapowiadający powtórzenie zamachu, gdy w tem ręka zbrodniarza ujętą i powstrzymaną została.

Tym niespodziewanym obrońcą był ksiądz przechodzący mimo: Wit Massari, który począł wołać: — Trzymajcie zbójcę!.. a tymczasem też lo-

kaj, siedzący na kozle obok stangreta, Piotr Colli, dawny żołnierz, mający medal zasługi wojskowej, zeskoczył i pomógł przytrzymać zbrodniarza, którym jest, jak wykazało śledztwo, Emil Caporali, syn szewca z prowincji Apulii, z kąd przybył do Neapolu, przywieziony przez ojca, aby terminował na malarza. Ale robota ciężka i prosta odrażała od siebie młodzieńca. Pewne wykształcenie umysłu, pewne odczytanie się książek, rozmaitej treści — przejęcie się teoriami, zrozumianiami powierzchownie, podniecało niezadowolenie. Szukał pracy innej, ale jej nie znalazł; zwracał się do syndyka Neapolu, Amarego, przecieź na prośbę, którą podał, nie otrzymał odpowiedzi, co podnieciło w roznamiętnionym nienawiści do porządku rzeczy, który nie dał mu przy pierwszym kroku w życie osiągnąć celu noszonych w piersi pożądań, — i porwał się na czyn zbrodniczy. Czuł się, jak zeznał przy śledztwie, najniebezpieczniejszym na świecie człowiekiem, przed którym zamknięta było droga życia, jaką iść pragnął. W Crispi'm, który stał na czele rządu i prowadził rej spraw narodowych, widział człowieka najszcześniejszego i postanowił go zabić: najniebezpieczniejszy najszcześniejszego!..

Scena zamachu odbyła się tak szybko, że Pepita Crispi nie pojęła co się dzieje: czego chce ten młodzieniec w szaraczkowej kurcie, którego wzięła za proszącego o coś i rzucającego do pozwu prośbę, jak się to często zdarzało. Ale gdy krew zobaczyła ojca, gdy ksiądz krzyknął: — „Arrestate l'assassino di Francesco Crispi!“ — biedaczka zbladła i była bliska omdlenia tak, że ojciec, przyciskając ranę chustką, ale niestracający zimnej krwi ani na chwilę, musiał ją uspakajać i pocieszać, zapewniając, że nie zrobił nigdy nic złego temu człowiekowi, który porwał się na jego życie — a jest to rys bardzo piękny w stosunku tego ojca do córki, chcącego w takiej nawet godzinie upewnić ją, że jest uczciwie niewinnym temu co się stało: tej nienawiści ludzkiej, sięgającej po jego życie.

Franciszek Crispi, mimo swoich teorii pozytywnego realizmu, uczył też w tej chwili, która mogła być ostatnią na ziemi coś, co mu kazało podnieść wzrok ku górze, bo w odpowiedzi na telegram Bismarcka, wyrażający mu, wobec tego co się stało, współczucie swoje, napisał: „Winiem życie Opatrzności; oddawać je będę, jak dotąd królowi i ojczyźnie mojej.“

Jest przecieź jeszcze i słówko, złożone w ofierze polityce: — dodające, że Francesco Crispi, poświęcił je w dodatku i „pokojowi Europy“...

Wkrótce będziecie mieli koniec dramatu; przesyłam wam wiadomość, jak się roztrzygnął, zaraz gdy się to stanie.

## Z NIEŚMIERTELNYMI.

With the Immortals by F. Marion Crawford.

(Ciąg dalszy ob. № 38).

Nazajutrz przybywa Cezar dla dokończenia swych zwierzeń. Zaskoczona zjawieniem się jego nagłym, Guendolina zapytuje o innych: Szopen jest tej nocy w Bayreuth na jednej z oper Wagnera, Heine siedzi nad brzegiem Morza Północnego i rozmawia z gwiazdami i pianą morską. Ale w ich miejsce człowiek, co umarł z niewidzianą twarzą — jak go nazywa Słowacki — przyprował za sobą Leonarda da Vinci. Piękna, wspaniała postać, wywiera wrażenie na kobietach, — choć twórca *Wieczery Pańskiej* ukazał się im w podeszłym już wieku. Wielki artysta maluje żywym słowem współczesność swoją. Wszystko, co wtedy żyło, rwało się naprzód, mieniło się w nieskończonych barwach duchowej swej bujności. Pieniądz nie władał światem jak dziś;

każdy żył szczerzej marzeniem, miłością — wolał swoją.

August Chard wtrąca do rozmowy uwagę, że ilość monety w obiegu wskazuje mniejszy lub większy postęp, a sposób używania bogactw stanowi o stopniu cywilizacji. Cezar nie zgadza się na to i dowodzi na przykładzie Rzym, który podbił narody bogatsze od siebie, że nagromadzenie kapitałów może być tylko wynikiem, ale nie czynnikiem postępu. Bogactwa nie czarują Guendoliny, za to mniema ona, że człowiek który, nagle poczuł w swych rękach władzę nieograniczoną, musi doznawać uczucia takiego, jakby miał żyć nieskończone wieki.

— Bez władzy życie przez całą wieczność byłoby smutnem tylko wypoczynkiem — mówi Cezar. Leonardo miał już dość jednego życia; dyktator Rzymu chciałby żyć raz drugi.

— Aby umrzeć znowu, jak umarłeś? — wtrąca Diana.

— Tak — odpowiedział — umrzeć znowu tak, jak już raz umierałem, byle tylko mieć znowu władzę nad ludźmi. Ja wiem co mówię, wy wieciec nie możecie. Bo śmierć, zaiste, była dla mnie straszną, ale nie z powodu fizycznej męczarni — chociaż te niezdarne łobuzy zabijali mnie długo, długo — myślałem, że się to nigdy nie skończy. Sam byłbym to lepiej zrobił. I po tem jeszcze byłem dla nich łaskawszym, niż oni dla mnie. Ani jeden z nich nie umarł naturalną śmiercią... ale umierali szybko. Kiedym otrzymał pierwszą ranę w szyję, wiedziałem, że już ostatnia godzina moja wybiła, a pasując się z mordercami, czułem całą grozę położenia. Przed oczyma stanęło mi w jednym jaskrawym obrazie to wszystko, czegom jeszcze nie dokonał, a coby się spełnić musiało, gdybym dłużej żył. Rozpacz ścisła mi serce, gdy widziałem, że oto będę zarznięty, zanim zdołałem dzieła mego w połowie dokonać, zanim świat choćby w połowie ucywilizowałem. Ludzie zapomnieli, że to ja wynalazłem cywilizację — ja, Cezar, który to do was mówię. W owej chwili czułem, że umieram, nie wprowadziwszy w praktykę teorii, która byłaby postać świata odmieniła. Ta garstka niedoświadczonych zabójców kosztowała świat piętnaście wieków ciemnoty. Gdybym żył, urobiłbym ziemię w swoich rękach, jak piekarz ugniata ciasto... A tutaj czuję, jak mi jednę ranę po drugiej zadają; czuję, że każdy cios godzi nie w samego tylko Cezara, ale w serce świata, że ryje głęboką ranę w piersiach ludzkości, która po mnie żyć miała... Od tych myśli najstraszniejszą była od skonu groźnego mojej ambicji. Wiedziałem, że i tak już dość zrobił, aby ludzie o mnie nie zapomnieli, i dla samego siebie rad byłem, że umieram. Lecz myśli moje... August zrobił dużo, ale nie mógł spełnić tego, com ja chciał i mógł!

— Tak — rzekł Leonardo, wychodząc z zadumy, w jaką go wtrąciły słowa Cezara — tyś był największym człowiekiem ze wszystkich, jacy kiedykolwiek żyli na ziemi.

— Zawiele w tem powiedziane — odpowiedział zdobywca spokojnie. Chciałem tylko być największym: to wszystko. Szczęście zbyt wczesnie mnie odbiegło. Największymi ludźmi na świecie są, bądźco bądź, poeci. Przytem i potomność najsprawiedliwiej ich sądzi, gdyż to, co po nich zostaje, są to właśnie oni sami; poeci siebie samych zostawiają ludzkości w swych słowach. My, politycy i żołnierze, jesteśmy na łasce historyków...

Dalej mówi Cezar o swoim w przygotowaniu się do wielkich czynów i do władzy nad Rzymem. Człowiek żyje w tem, co po sobie zostawił, a sumę jego życia wytwarzają zamiary, z czynami, które je spełniają lub nie, związane tak ściśle, jakby to uczynił Grek, mistrz w geometrii. Figura życia jest największą wtedy, kiedy czyny dokonane mają taką samą wielkość, jak zamiary, które je wywołały. Tak w geometrii ze wszystkich figur czworobocznych największą powierzchnią ogarnia kwadrat, mający wszystkie cztery boki równe. Jeśli zamysły są wielkie a czyny małe, wtedy figura życia wydłuża się, ale jest wąską i małą zajmuje przestrzeń. Wreszcie, jeżeli czynów jest więcej niż postanowień — muszą



one być dziełem przypadku i nie mogą być człowiekowi liczone na karb jego zasługi.

Warto posłuchać spowiedzi Leonarda da Vinci: — *Wieczere Pańską* zostawiłem niedokończoną i gdybym do-dziś-dnia żył, nie byłbym już do niej ręki przyłożył. Zdaje mi się, że jest to rzecz pewnych temperamentów, iż nie mogą nic wykończyć, chociażby z pracy ich wieki całe korzystały miały. Artyści z takim temperamentem szukają wiecznie czegoś, czego nigdy nie było, co nigdy być nie może — przynajmniej my, za naszych czasów, takżeśmy szukali. Sądzę, że było z tem lepiej: rwaliśmy się do ideałów. Malarze nowocześni uganiają się za realizmem. Ja nie stałem się realistą przez to, że malowałem spazmatycznie śmiejących się chłopów — dla studyów, a głowy uśmiechniętych kobiet (*Mona Lisa*) — dla przyjemności. Nie wiedzieliśmy nawet w czasach, w których żyliśmy, co znaczy realizm — jakkolwiek uważają nas dziś za założycieli szkoły realistycznej. Pragnęliśmy tylko iść za dążeniami natury; dzisiejsi artyści uwzięli się na to, aby ją samą kopiować. Ty, Cezarze, pragnąłeś ludzi uczynić takimi, jakim i niebo samo mieć ich chciał; pragnąłeś dla nich porządku, szczęścia, pomyślności w granicach zakreślonych przez rozum. Napoleon, podobnie jak Alexander, sam ściągnął na siebie zagładę, usiłując wytworzyć państwo, któreby granic nie znało a ogarnęło wszystko — wszystkie nierozumne a często i niechętnie żywioły, — a dążył do tego, że ślepą wiarą, że kto ma w mocy swej ciała ludzi, ma też i ich dusze. Tobie się powiodło, chociaż upadłeś; Napoleon upadł, chociaż mu się powiodło...

— Nie było to jego winą — odrzekł Cezar — jak nie winien był temu mój biedny Cajus Curio, że go Juba rozbił. Plany Napoleona zdumiewają swą wielkością. Wiem, że mnie nie uznawał, ale ja go podziwiam. Dzieło jego nie miało trwałości — to prawda; było to jednak skutkiem faktu że, wyniosłszy się ponad innych jako żołnierz, miał później już instynkt żołnierza. Ja wychowałem się na polityka i więcej ważyłem sobie stałość państwa, niż rozposzcieranie jego granic. Nazwano mnie zdobywcą; gdybym żył, otrzymałbym nazwę cywilizatora i byłbym się o nią ubiegał... Państwo, które je zakładałem — a słowa tego nie użyłem nigdy w znaczeniu nowożytnem — moja władza miała się stać władzą monarchy demokratycznego.

#### IV.

Charakterystyka Cezara skończona. Ze zwierzeniami przychodzi następnego wieczora Franciszek I. Zakłęła go Lady Brenda, której się niegdyś, w dalekiej perspektywie historycznej, ze swem nieszczęściem do Karola V a szczęściem do kobiet, niezmiernie był podobną. O tych kobietach, przyjaciółkach królewskich, rozmawia lady sama jedna z cieniem sławnego człowieka. Król wyznaje jej, że najlepiej kochała go Franciszka de Foix, blondyna z niebieskimi oczyma i złotym włosom; Anna de Heilly chwytała tylko chciwie coraz to nowe podarki, inne nasycaly tylko swą ambicyą, on zaś żadnej z nich szczerze nie kochał. Pamięć Franciszki poniosł ze sobą za grób, kocha ją teraz i tęskni i żałuje srogiego obejścia się z ukochaną.

— A czy ulżyłoby ci, królu, gdybyś ją teraz zobaczył?

— Tak. Chciałbym, usłyszeć z jej ust słowo przebaczenia...

Na terrasie zjawila się postać kobieca. Szła prosto do króla, który, w zamyśleniu pogrążony, jej samej nie dostrzegł, ale obecność jej poczuł, bo zadrżał i odwrócił się ku niej. Za chwilę młoda, piękna, czarująca kobieta o bladym, smutnym obliczu rzuciła się do nóg człowieka, którego na ziemi kochała. Potem podniosła się, odstąpiła w tył i zatopiwszy wzrok w twarzy królewskiej,

— Ach, najjaśniejszy panie — zawołała głosem rozdzierającym serce — czemuż był dla mnie tak niedobrym, tak okrutnym?

— Franciszko, przez miłość boską, przebac mi! — i białe swe ręce wyciągnął ku cieniowi kobiety.

— Przebaczyć ci? — powtórzyła jakby echem, a z niewysłowionego smutku wyrazem. — I nie więcej? Och, przebaczyłam ci dawno! Przebaczyć! — to jeszcze nie wszystko, chociażśmy oboje, ty, królu, i ja — umarli.

— Tak, to nie wszystko. Coś więcej jest, więcej niż powiedzieć mogę. Ja kocham cię jeszcze — zawołał Franciszek, rzucając się ku ukochanej.

— Nie, nie, nie. Tyś nigdy nie kochał mnie, panie! To ja tylko ciebie miłowałam — na śmierć miłowałam, za silnie, zbyt długo, zbyt grzesznie kochałam ciebie!

I lzy puściły się z jej oczu strumieniem i tak płacząca wpatrywała się jak duch bezdennej żalości w twarz króla. Nagle krzyknęła, odwróciła się od niego i przez łagodny zmierzch uleciała w głąb' ciemności, które już ogarniały brzeg widnokregu.

Król pozostał niemy ze swoją żalością i po krótkich uwagach nad ukochaniami ziemskimi człowieka, podniósł się i odszedł, obiecując wkrótce powrócić.

Nazajutrz po południu towarzystwo z Castello del Gaudio, znajdując się na przechadzce, spotkało człowieka chodzącego po skałach nadmorskich. August wziął go za miejscowego Włocha; Włoch okazał się Anglikiem, jednym z wielkich zmarłych Anglików: Samuelem Johnsonem. Umysł angielski, rozwijający pewne pojęcia w formie rozmów z umarłymi, nie mógł go pominąć. Johnson wnosi ze sobą żywioł krytyczny — nietylko w literackich ale i w powszechnych sprawach życia. Bystre jest jego spostrzeżenie nad zdolnością umysłu do porównań. „Jeżeli przypuścimy, że dwóch ludzi zapamiętało dane rzeczy równie dobrze, to jasnym jest, że ten z nich, który umie wykazać dokładniej wartość ich porównawczą, posiada zarazem i większą łatwość użytkowania swej wiedzy. Można wątpić o tem, zali Izaak Newton posiadał znakomitszą pamięć, niż lord Chesterfield; ale wątpić nie można, że gdy w tym ostatnim moc porównywania wydawała tylko iskrzący się dowcip, w pierwszym była tak potężną, że wydała z siebie prawdziwie wielkiego człowieka i wielkiego wynalazcę”. Nauka powinna być dla życia. Któżby się ośmielił — woła Johnson — porównywać wpływ wynalazku nowoczesnej maszyny parowej, poruszającej okręty po wszystkich morzach świata, z wpływem poszukiwań Darwina nad pochodzeniem człowieka? Teoria ta będzie może pomnikiem genialności jednego człowieka, ale nie natchnie ludzkości ani podniosłością, ani siłą ducha, ani nawet jednostkom nie dopomoże do poprawienia swego losu.

Tak rozmawiając przez drogę, zbliżyli się do pagórka, z boku którego, w lekkim zagłębieniu, siedzieli półkołem czterej nieśmiertelni, dawniej już poznani; ale teraz był jeszcze z nimi piąty: „rycerz bez trwogi i zmayı”, Piotr du Terrail, Seigneur de Bayard.

Franciszek I przedstawił go Lady Brenda i jej rodzinie i żartobliwym tonem przemówił:

— Obawialiśmy się czy przyjdziecie i, co prawda, układaliśmy już plan obłężenia waszego zamku, a Bayard miał na ochotnika iść w pierwszym szeregu.

— Gdybyśmy go wzięli do niewoli — pochwycił August Chard — kobiety nasze nie puściłyby go tak, jak go wypuścił Lodovico Sforza, kiedy mu się samowtór wdarł do Mediolanu.

— Prawda, nie miałbym odwagi ofiarować okupu za sobą.

I całe towarzystwo żywych i umarłych rozsiało się na murawie na wzgórzu, u stóp którego morze słodko poruszało swe fale. Żywi podziwiali cudny krajobraz, który słońce południowe malowało im przed oczyma; zmarli, nie czuli już na fizyczne wrażenia, zagłębiali się w siebie w milczeniu. Przerwała je Lady Brenda pytaniem:

— Ciekawa jestem: jakiej też rozkoszy człowiek najwięcej użył w życiu?

Długo nie było odpowiedzi, aż dał ją wreszcie August Chard:

— Miłości i piękna natury.

— Nie zupełnie się zgadzam na to — rzekł Cezar.

— A ja najzupełniej — odparł król.

— Kwestyą potrzeba tak sformułować — odezwał się Cezar — co człowiekowi większą rozkosz sprawia: czy rozkazywać, czy słuchać rozkazów siły wyższej nad siebie?

— Mniemasz, Cezarze — zapytał August, że ci, którzy rozkoszują się miłością i naturą, więcej niż czem innym w życiu, są już temsamem niewolnikami miłości i natury?

— Tak myślę. A przytem miłość i natura — to dwie rzeczy całkiem od siebie różne. Miłość jest namiętnością; natura jest zbiorem przedmiotów, tak ułożonym, że zatapiając się w nich, doświadczamy różnolitych wrażeń: zadowolenia lub braku, przyjemności lub przykrości.

— Jeżeli tak określimy naturę, to nie będzie wielkiej różnicy pomiędzy nią a kobietą — wtrącił Heine — kobieta jest także zbiorem przedmiotów, takich, jak oczy, nos, włosy, piesek - faworyt,.... plotki — i zatapiając się w ten zbiór....

— Ależ kobieta ma duszę nieśmiertelną! — przerwał Johnson surowo.

— I to jest też jedyna różnica — ciągnął dalej Heine — Natura, o ile sądzić możemy, nie ma duszy, i fakt ten tłómaczy nam właśnie jej niezachwianą prawidłowość. Gdyby natura miała duszę, kochalibyśmy ją lepiej, niż jakąkolwiek kobietę, ponieważ natura ma w sobie przymiot wierności niezłomnej, a nie ma wady próżności.

— Ja-bym sądziła — odezwała się Diana — że wypadałoby pierwaj określić miłość, a potem dopiero rozprawić nad nią.

— Miłość — rzekł Johnson — ma czternaście znaczeń. Ta, o której mówimy, jest uczuciem zespalaćcem kobietę z mężczyzną.

— Właśnie — wtrącił Franciszek — definicya prawdziwie dobra.

— Chciałbym ją trochę rozszerzyć — odezwał się Bayard, po raz pierwszy głos zabierając — Miłość jest zacnem i namiętnem przywiązaniem pomiędzy mężczyzną i kobietą.

— Jest to szlachetna forma miłości — dokończył Johnson — Skoro możemy z zupełnem prawem przypuszczać, że na najwyższym wzniesieniu się swego miłość ma w sobie coś anielskiego, — to nie będzie chyba żadnej przesady, jeżeli powiemy, że w istotach niegodnych objawia się ona w sposób piekielny... Za przedmiot do rozmowy obierzmy sobie tylko tę czystą i zacną namiętność, której nie bez zasady przyznajemy początek z Boga i bez niesprawiedliwości także lub przesady możemy nazwać ją boską.

— Zgoda! — rzekł August — a w takim razie możemy najzupełniej przyjąć określenie naszego rycerskiego towarzysza. Miłość będzie tedy zacnem, namiętnem, a przytem wywzajemnianem uczuciem kobiety i mężczyzny; będzie jednym, jedynym tylko uczuciem. Znacność jej znaczy, że powinna być bezinteresowną. Kochać zacnie można tylko dochowując wiekuiestej czci dla samego siebie, tej czci, która jest duszą zacnego honoru. Wreszcie przymiotnik „namiętna“ — zastrzega dla miłości jej rzetelny charakter, w przeciwstawieniu do beznamiętnego uczucia, jakiego kobieta mogła mieć dla swego przyjaciela.

— Przy takim pojęciu miłości pospolici ludzie, zwyczajni śmiertelnicy wcale-by kochać nie mogli, — wystąpił z opozycyą król.

— Nie — odparł August. — Poniżej prawdziwie podniosłego ideału jest wiele stopni bardzo blizkich poziomom.

— Ale jak wtedy odróżnić miłość idealną od realnej? — zarzucił Heine.

— Pewną jestem, że kto szczerze kocha, ten zawsze znajduje swój ideał, mniej lub więcej urzeczywistniony — odezwała się z Guendolina.

— To, co jest ideałem, nie łatwo może być urzeczywistnionem — zauważył Johnson.

— Nie inaczej. Rzadko kiedy da się urzeczywistnić. Lecz wtedy kiedy się w górę wspinaemy, kiedy miłością płoniemy, w temsamem już potrosze ideał urzeczywistniamy — odpowiedziała młoda mężatka.

— W każdym razie — rzekł Cezar — nadzieja urzeczywistnienia ideału jest tak potężną, że w praktyce życia hołduje jej cały ród ludzki.



— A więc, przyznajesz, Cezarze, że miłość jest namiętnością panującą? — pochwyciła Lady Brenda.

— Tak dalece panującą — wyręczył Cezara Franciszek I — że trudno byłoby znaleźć jedną istotę ludzką, któraby wpływowi jej nie uległa prędzej lub później. A człowiek pod wpływem miłości przestaje być panem samego siebie.

— Są ludzie, którzy nigdy z niej wyleczyć się nie mogą — dodał Heine. — Jestto choroba, która zeszpeca człowieka; tylko, że sam chory tego nie dostrzega, a kiedy wyzdrowieje, myśli sobie, że mu dzioby poznikają niezawodnie, jeśli się drugi raz zakocha.

— I to prawda — z uśmiechem przyświadczył Franciszek. — Prawdziwie dowcipny z pana człowiek, Monsieur Heine.

— Dzioby są jednym z następstw choroby — dokończył Heine, ze swoim dziwnym, z kątów ust wychodzącym uśmiechem — Pies legawy, który nigdy nie chorował, jest do niczego, jak to Wasza kr. Mość zapewne sobie przypomina. Ja byłem dobrym psem, bom miał ospę w młodości.

— Czyliż nie zgadzasz się, poeto, — zapytała Diana — że miłość jest ostatecznie jedną z tych rzeczy, które nam najwięcej rozkoszy w życiu przyniosły?

— Kochać — źle, nie kochać — jeszcze gorzej — odpowiedział. A na to Johnson:

— Z dwójga złego człowiek powinien wybrać mniejsze.

— Tak też robi większość ludzi.

— W każdym razie jednak — odezwał się August do Heinego — uznajesz, poeto, miłość za uczucie panujące? — Sądzę, że i Dr. Johnson ma to samo przekonanie...

— Nie, podzielać go nie mogę.

— Miłość — przemówił Bayard — jest najszlachetniejszą z namiętności. Człowiek powinien kochać kraj swój całym swym umysłem, króla swego całą duszą, żonę swoją całym sercem, a Boga — i sercem, i duszą, i umysłem.

— Jest to dobra reguła życia — zauważył Johnson. — Kto poświęca siły swego umysłu dla dobra swego kraju, swoją wierność, zapal i odwagę, na służbę królowi, a swoje najczystsze i najgorętsze uczucia dla kobiety, którą sobie wybrał, — ten niewątpliwie pędzi żywot gorliwego chrześcijanina; wszystkie jego zamysły wpływają z rozsądnych i czystych pobudek, a dobre zamiary jego znajdują bujne objawy w dobrych jego uczynkach.

— I jest on wtedy takim, jakim człowiek być powinien — dokończył Bayard. — To tylko powiedzieć muszę, że z pomiędzy ludzi, których znałem, było znacznie więcej opanowanych przez miłość dla kobiety, niż przez patriotyzm, przywiązanie do króla albo żarliwość religijną. Bądźcoby, zawsze miłość okazuje się namiętnością panującą nad światem.

— Najsilniejszą z pomiędzy namiętności branych tak, jak je pojmujemy — dorzucił August. Nikt chyba twierdzić nie zechce, że nienawiść ma na życie powszednie większy wpływ od miłości. Zazdrość, jeżeli jest rzeczywistą namiętnością, każe przypuszczać istnienie miłości i z niej tylko wypływa. Skąpstwo ma, bezwątpienia, wielką wagę w świecie, ale nikt nigdy nie powiedział aby wszyscy ludzie byli skąpcami... Wielkimi namiętnościami są w istotnym znaczeniu tylko: miłość, nienawiść, zazdrość, skąpstwo, pycha i ambicja.

Nad tą namiętnością na ostatku wymienioną zatrzymuje się Cezar i innych pociąga do siebie. Dopiero Bayard naprowadza napowrót rozmowę na temat miłości. Chciałby wiedzieć: za czem ludzie więcej się uganiają: za ideałem, czy za rzeczywistością?

— Kwestya prawdziwie zajmująca — odezwała się Diana. — Zdaje mi się, że miłość w znacznej części jest sprawą imaginacyi. Skutek jest zawsze jeden.

— Ja nie sądzę — rzekł Franciszek.

— Mojem zdaniem — dał się słyszeć August — ideał jest w mózgu człowieka wypadkową wszystkich jego intelektualnych upodobań i fizycznych podniet; realnem zaś w umyśle człowieczym

jest to, co stanowi wypadkową jego intelektualnych i fizycznych wrażeń. Cała rzecz zasadza się ostatecznie na równowadze z jednej strony upodobań i apetytów, z drugiej wrażeń otrzymywanych od świata. Są ludzie, u których pożądanie idzie przed myślą, a myśl wpływa na wrażenia. Ludzie ze słabą wyobraźnią nie mają żadnych obrazów, dopóki ich nie przyjęli zmysłami. Człowiek z silną wyobraźnią jest zdolnym do wytworzenia sobie prawdziwie jasnego obrazu kobiety, któraby sobie chciał wybrać za żonę. Nie szczęściem, niedoskonałą znajomości stosunków zachodzących w kobiecie pomiędzy inteligencją, charakterem i zewnętrznym przejawem osoby, prowadzi mężczyznę często do umieszczania swego ideału w złej rzeczywistości.

— August! co za kazanie! — zawołała Diana — Innemi słowy: kto kocha ideał, ten zawsze dozna zawodu...

— Naturalnie — pochwycił Heine — kto się chce od zawodu uchronić, nie powinien mieć wcale wyobraźni.

— Mężczyźni nie koniecznie już skazanymi być mają na same tylko zawody. Jest pełno dobrych kobiet na świecie — rzekł Bayard.

— A wcale nie pełno dobrych mężczyzn — dodał Heine.

Johnson nazwał czynem opiekuńczej opatrności fakt, że mężczyzna otrzymał od niej więcej rozsądku niż wyobraźni. Z tej przyczyny tak mało jest poetów, a tak wiele szczęśliwych małżeństw.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## LAURA BRIDGEMAN.

Jednym z największych nieszczęść, jakie człowieka dotknąć może, jest kalectwo zasadzające się na utracie zmysłu. Gdy zbraknie jednego ze zmysłów, skutkiem wady wrodzonej lub nabytej, życie już traci swój urok. Co począć gdy zbraknie naraz kilku, jak zawiązać stosunki ze światem zewnętrznym, jak otrzymywać wrażenia zmysłowe, najniezbędniejsze, które dają świadomość tego, że się istnieje, że się jest? Bez nich człowiek taki byłby głazem gdyby mu nie przyszły w pomoc: specjalna pedagogia i miłosiernie serce współbraci.

Przed paru miesiącami zmarła w instytucie ociemniałych w Bostonie istota, której żywot zasługuje jednocześnie na najwyższe współczucie i podziwienie. W drugim roku życia pozbawiona wzroku, słuchu i powonienia, Laura Bridgeman, jedynie przy pomocy zmysłu dotykania, dzięki genialnie obmyślonym sposobom i z anielską cierpliwością przeprowadzonej metodzie, przyswoiła sobie mowę palcową głuchoniemych, wyuczyła się czytać druk wynaleziony dla ślepych, a także tym sposobem i liczyć. W ten sposób udało się tę najniebezpieczniejszą istotę wprowadzić w stosunek wrażeńowy ze światem zewnętrznym, a następnie już i samą wiedzę ludzką jej uprzystępnąć. Laura wykształciła się do tego stopnia, że mogła opisać swą młodość, w rodzaju autobiografii, z której wyjątki ogłoszono drukiem w Ameryce. Dożyła sześćdziesiątego roku życia, a przez cały ten czas prawie czuła się zadowoloną i szczęśliwą. Cud prawdziwy, jakim dało się ją wykształcić, a jeszcze bardziej potężna siła woli samego kształcącego, napelnily całą Europę przed kilkudziesięciu laty niepomiernem zdziwieniem, gdy wiadomość ta nadeszła.

W Ameryce zajęcie się Laurą Bridgeman było bardzo wielkie, a jeszcze przed dziesięciu laty professor Stanley Hall wykonywał na niej doświadczenia psychologiczne, ogłosił zaś ich wyniki w angielskiem czasopiśmie *The Mind* (Umysł). U nas zajęcie się tym przedmiotem nie przekroczyło najszczęśliwszych granic, pomimo, że jest

on ze wszech miar ciekawym i godnym zastanowienia, tak, że Laura Bridgeman poszła w zupełne zapomnienie, a z młodszej generacji nikt nawet o jej istnieniu nie wiedział. Śmierć przypomina ją znowu, i dla tego godzi się przyjrzeć temu biednemu, a jednak tak dziwnie bogatemu żywotowi.

Laura Bridgeman przyszła na świat d. 21 Grudnia 1829 r. w Hannoverze, w Stanie New-Hampshire, jako zupełnie zdrowe dziecko; rodzicami jej byli wieśniacy, zamożni, poważani i dosyć wykształceni. W pierwszych miesiącach życia cierpiała często na konwulsje, lecz później rozwijała się prawidłowo, a doszedłszy do drugiego roku, była ślicznym, rozwiniętym fizycznie i umysłowo dzieckiem. Mówiła dosyć dobrze, a nawet umiała wyróżniać niektóre litery alfabetu. Naraz zapadła na silną szkarlatynę, która wprawdzie zostawiła jej życie, ale zabrała wzrok i słuch. Powonienie również zostało w wysokim stopniu porażone, a gdy po dwóch latach cierpień biedna dziewczyna mogła nareszcie opuścić łożo boleści, dotykaniem było jedynym jej zmysłem, przy pomocy którego mogła swego ducha ożywiać strawą umysłową. Mowy zapomniała zupełnie, ponieważ nie słyszała mówiących: stała się niemową dla tego, że była głuchą.

Zdawało się przecież, że Laura okropnego stanu nie odczuwa; była żywą jak dawniej, towarzyszyła matce wszędzie, a nawet przy pomocy dotyku uczyła się szycia, robienia pończoch i t. p. Porozumiewanie się z nią było, jak łatwo pojąć, bardzo trudne; wypadało się ograniczać na pewnych znakach, które dziecko nauczyło się rozumieć skutkiem częstego używania. Położenie ręki na głowę oznaczało, że się jest z niej zadowolonym, dotknięcie krzyża — przeciwny stan. Nie możność objaśnienia jej sprowadzała częstokroć niesnaski, które ojciec surowo nieraz karecił. „Była tam istota“ — mówi Karol Dickens, który ją widział w Bostonie, podróżując po Ameryce — „zakuta w marmurową komórkę, nieczuła na żaden promień świetlany, na żaden szmer głosu, wyciągała przed sobą małą białą rękę, jakgdyby szukała ciągle dobrego człowieka, któryby nieśmiertelnej jej duszy dopomógł do zbudzenia się i wyjścia z otchłani.“

Znalazł się dobry człowiek i pomoc wraz z nim przybyła. Dr Samuel Howe, kierownik wówczas niedawno założonego instytutu dla Ociemniałych w Bostonie, dowiedział się o dziewczęciu ociemniałym i głuchoniemem i natychmiast postanowił Laurę wziąć pod swoją opiekę i ułatwić jej obcowanie z innymi ludźmi. Udał się do miejsca jej urodzenia i z łatwością skłonił rodziców do oddania swego dziecka na wykształcenie do instytutu ociemniałych.

W Październiku roku 1837 przybyło ośmioletnie dziewczę do Bostonu i wkrótce rozpoczęło naukę. Dr Howe, w sprawozdaniach rocznych z zarządu Instytutu, podał rezultat wynalezionej przez siebie metody nauczania ociemniałych. Sprawozdania te jednakże nie były gromadzone i w handlu księgarskim nabyć ich nie można. Podobnie Dr Howe nie opisał nigdy dokładnie stopniowego rozwoju Laury, a ponieważ niezmiernie ciekawym jest psychologiczne badanie podobnej istoty, podajemy więc wiadomości otrzymane od jego następcy, dyrektora instytutu ociemniałych w Bostonie, D-ra M. Anagnos, zięcia zmarłego w roku 1876 D-ra Howe. Dr Anagnos udzielił wyczerpujących danych o psychicznym rozwoju Laury Bridgeman D-rowi W. Jerusalem, który je opisał, z opisu zaś tego my niniejszą notatkę swoją czerpiemy.

Na mocy tych wiadomości i biografii Laury, spisanej przez jedną z jej nauczycielek, opowiada Dr Jerusalem, w jaki sposób można było istotę pozbawioną wzroku i słuchu wyuczyć czytania i pisanania, a więc doprowadzić ją do tego, że przy pomocy palców wyrażała, a raczej oddawała, swe myśli, tak, że ją z łatwością i nieomylnie można było rozumieć i zarazem dawać jej do zrozumienia to, czego w naturalny sposób pojąć, skutkiem kalectwa, nie mogła.

Po przybyciu do zakładu pozostawiono jej kilka dni, aby się przyzwyczaiła do nowego otoczenia; poczem nauczycielka, Miss Drew, wspólnie



z dyrektorem Howe rozpoczęła naukę. Dr Howe przyniósł pewną ilość kartek papieru, na których, stosownym alfabetem dla ociemniałych, wypisane były nazwy rozmaitych przedmiotów, jak: noży, wideł, łyżek, kluczy, krzesel i t. p. Każdą podobną kartkę miał w dwóch exemplarzach: jeden umocowywał na właściwym przedmiocie, drugi zaś odkładał na stronę. Najpierw podano jej wyraz „knife“ (nóż) na kartce swobodnej i kazało jej, aby palce po nim prowadziła, jak to czynią ociemniałi przy czytaniu. Następnie podano jej kartkę wraz z nożem i dano do zrozumienia, że oba napisy są jednakowe. Pojęła to z łatwością. Tosamo uczyniono z innymi przedmiotami i powtórzone tęsam manipulacją i dnia następnego. W początku pojmowała tylko, że niektóre napisy są do siebie podobne, gdy inne się różnią; na trzeci dzień jednakże zaczęła pojmować, że napisy oznaczają nazwy przedmiotów, do których je przymocowano. Wzięła mianowicie wyraz „chair“ (krzesło) i położyła na krześle, następnie na drugim i t. d.—przyczem rozsądny uśmiech okraślił jej twarz, a wyrażał on zarazem wdzięczność i wyjawiał, że pierwszą lekcją zrozumiała. Następnego dnia dano jej wyraz napisany, a potem ona sama szukała odpowiedniego przedmiotu, aby na nim kartkę położyć, lub też odwrotnie, dawano jej w ręce przedmiot, a ona wyszukiwała kartki z odpowiednim napisem. Dotąd uważała każdy wyraz za jedną całość; aby jej dać do zrozumienia, że tak nie jest, że każdy wyraz składa się z części czyli oddzielnych znaków, kazał Dr Howe przygotować metaliczne alfabety ruchome. Uczono ją czcionki tak układać, aby ułożone utworzyły znany jej już wyraz. Wkrótce zrozumiała porządek liter i umiała czcionki układać w skrzyżkach po zrobionym z nich użytku. Za każdym razem, gdy się znalazła wobec jakiejś trudności, występował na jej twarz ów uśmiech, który z dniem każdym stawał się wyraźniejszym i rozsądniejszym.

Po dwóch miesiącach wyuczono ją alfabetu palcowego głuchoniemych. Co do tego powtarzamy słowa d-ra Howe: „Jest rzeczą zachwycającą i zarazem podziwiania godną, jak dziecko to prędko, dokładnie i z największą ochotą robi postępy w nauce. Nauczycielka podaje jej jakiś nowy przedmiot np. ołówek (pencil), który ona bada i zdaje sobie sprawę z jego użyteczności. Następnie wyucza ją, jak się ten przedmiot nazywa, przyczem znaki liter robi własnymi palcami. Dziewczyzna chwytła nauczycielkę za rękę, ujmuje palce i sama układa właściwe litery, usta przytem ma ostre, zaledwie oddycha skutkiem niecierpliwości, a w początku lekliwy wyraz twarzy, zamienia się w uśmiech, skoro tylko pojęła, o co idzie. Następnie podnosi swą małą rączkę i syllabizuje wyraz w alfabecie metalicznym; co uczyniwszy, układa złożony wyraz obok ołówka, aby być pewną, że się nie omyliła. W mowie palcowej doszła w krótkim czasie do znakomitych postępów. Nawet we śnie, jak niejednokrotnie zauważono, mówiła palcami, tylko znaki robiła tak prędko, że niepodobna było odczytać, co pragnie wyjawić.

W początkach uczyła się nazw rzeczy, a głównie rzeczowników, później i przymiotników, dających się zmysłowo ująć, a więc takich, jak „mięki, twardy“, co jej nie przedstawiało wielkich trudności. Krótkich zdań ze słowami ruchu, jak: *shut door*, (zamknij drzwi), *give book* (daj książkę)—uczyła się z łatwością, przy objaśnianiu jej jednocześnie, jak się podobna czynność odbywa. Ochotę do nauki miała nadzwyczajną, a pytaniami zadanymi nauczycielce odbiegała często daleko od zadanej lekcji. Dziewczynki z instytutu polubiły Laurę bardzo i wyuczyły się mowy palcowej, aby mogły z nią mówić. Skutkiem tego słownik jej bezustannie się wzbogacał i w ten sposób stało się rzeczą możliwą prowadzić dalszą naukę. W roku 1839 uczyła się pisania. „Było rzeczą wielką zabawną—pisze dr Howe—patrzeć na nieme zdziwienia, z jakim się oddawała swej czynności, akuracność, z jaką każde poruszenie wykonywała, i cierpliwość, z jaką posuwała za każdym razem ołówek w jedną i drugą stronę, dopóki nie odtworzyła całokształtu litery. Gdy spostrzegła się, że tym sposobem będzie w możności myśli swe wyrażać innym, radość jej nie

miała granic. Nigdy z pewnością żadne dziecko z większym zapałem i radością nie oddawało się pracy, jak ona w tym razie, a w kilka tygodni umiała litery wszystkie wypisywać i wyrazić od siebie oddziałość. Wkrótce też bez niczyjej pomocy napisała list do matki, w którym donosiła o stanie zadawalającym swego zdrowia i wyrażała ukontentowanie z czynionych postępów. List ten zamieszczony jest w wyżej wspomnianej autobiografii. Napisała go Laura zupełnie czytelnie. Styl jego jest ucinkowy, poszarpany, w krótkich prostych zdaniach zamknięty: „Laura napisze do matki, Laura z ojcem pójdzie. Laura robi dla matki sakiewkę. Laura będzie spać u matki. Matka będzie wtedy Laurę kochać i całować i t. d.“

W ten sposób ociemniał i głuchoniemy dziewczę pozyskało możność wyrażania swoich myśli mową wykształconych, oile mogła w swym umyśle oblec je we właściwą formę. Bardzo wielu wyuczyło się mowy palcowej i sposobu czytania dla ślepych, aby z nią mógł się porozumiewać, a co wysokim stopniu wpływało dodatnio na wykształcenie Laury. Skłoniono ją do prowadzenia dziennika, a krótkie historyjki, jakie jej poprzedniego dnia czytano, z pamięci wypisywała. Z przytoczonych w autobiografii prób przekonano się można, jak dokładnie jej pamięć zatrzymuje opowiadanie i jak wiernie je następnie oddaje. Dr Howe zachęcał ją aby sięgnęła pamięcią w swą młodość, przypomniawszy sobie a następnie opisała ją. Temu właśnie zawdzięczamy jej autobiografię, z której, jak już wspomnieliśmy, drukowane były wyjątki.

Jako próbka jej stylu niech posłuży następujące miejsce, podające jej wyobrażenia o śmierci: „Mój ojciec zwykł był zabite zwierzęta przynosić do kuchni i układać je w jednym miejscu. Gdym to zobaczyła, byłam wielce zdziwioną, gdyż nie wiedziałam co to jest takiego. Czulałam, wstręt zbliżając się do nieżywego jestestwa. Pewnego dnia poszłam z matką niedaleko. Po niedługim czasie weszliśmy do ładnego pokoju. W pokoju tym była trumna. Wsunęłam rękę w trumnę i poczułam coś szczególnego. Złęklam się okropnie. Znalazłam tam coś umarłego, owiniętego w jedwabną chustkę. Pomyślałam, że było to ciało, które już żyć przestało. Nie miałam odwagi dalej badać, gdyż byłam zgnębioną. Jakaś osoba stała spokojnie przy drzwiach obok mnie i skierowała wzrok na umarłego, a powiekami poruszała tak, jakgdyby lży ciekły po jej twarzy“.

Działo to przed jej wstąpieniem do instytutu, i nie podlega wątpliwości, że dopiero następne wykształcenie dało jej możność wyrażania słowami tego, co sobie przypomniawszy zajmującego z lat dziecięcych. Obawa śmierci wyraża się i później bardzo jasno. Razu pewnego w kuchni instytutu dostała jej się do rąk nieżywa kura; od tego czasu już przez całe tygodnie nie chciała jeść mięsa.

Dalsze kształcenie Laury, dzięki któremu nauczyła się rachunków, geografii, historii powszechnej i naturalnej, owiele mniej przedstawia zajęć, niż początkowe. Dlatego zastanowimy się raczej nad niektórymi innymi zjawiskami, godnymi uwagi w fizycznym umysłowym byciu Laury Bridgeman. Wzrok i słuch pozostały już nawsze nieczynnymi; zato powonienie poprawiało się stopniowo, głównie jednakże kierowała się zmysłem dotykania, który jej zastępował zmysły utracione. Z pięćdziesięciu przeszło osób zamieszkujących instytut rozpoznawała Laura każdą za pomocą dotknięcia ręki lub odzienia. Gdy w pokoju, w którym się znajdowała, rozmawiano albo grano, dowiadywała się o tem natychmiast—od posadzki, która drżała. „Głos dochodzi mnie przez nogi do głowy“—mawiała Laura. Gdy rano się budziła i chciała dowiedzieć się czy już czas wstać, wsadzała palec w dziurkę od klucza drzwi prowadzących do pokoju jej koleżanek, a gdy te już wstawały, poznawała to po drżeniu w palcu, gdyż skutkiem poruszeń wykonywanych przez koleżanki drzwi drżały.

Pewnego wieczora wróciła jej nauczycielka, Miss Swift (tażsama, która pisała biografię) z podróży i udała się do salonu, gdzie zastała siostrę d-ra Howe. Po chwili weszła Laura, nie wiedząc nic o powrocie nauczycielki, siadła na kanapie i robiła pończochę. Po kwadransie zapytała:

„Kto rozmawia? Zdaje mi się, że Miss Swift“. Gdy ją zapytano: z kąd to wie?—odpowiedziała: „Czulałam jak mówiła“. Sprawiało jej wielką przyjemność trzymanie w rękach tabakierki grającej, gdy ta wykonywała jako utwór muzyczny. Twarz jej wówczas wyrażała zachwycenie, gdy czuła fale głosowe. W ten sposób doznawała zadowolenia z muzyki, nie słysząc ani jednego tonu.

Jeszcze bardziej niezwykłymi, mianowicie pod względem psychologicznym, były wydawane przez nią dźwięki głosowe (*noises*). Oznaczała nimi różne osoby otoczenia, a to w ten sposób, że dla każdej z nich miała oddzielny dźwięk. „Gdy wchodziła do pokoju—pisze dr Howe—witała każdą osobę właściwym dźwiękiem, różniącym się co do wysokości i ostrości. Każde dziecko wyróżnia ten dźwięk i wie, jaką oznacza osobę. Gdy Laura mówi o tej osobie, składa palcami litery jej imienia, wydaje jednakże owe dźwięki z siebie, gdy się znajduje samą. Spytana: dlaczego wydaje dźwięk głosowy, zamiast złożyć na palcach imię osoby, do której się zwraca, odpowiedziała:—„Myślę o Zaneecie (siostra d-ra Howe), gdy wydaję ten głos i przypominam sobie jak dobrimi rzeczami mnie obdarza, a nie myślę o tem, aby złożyć jej imię“. Kiedy indziej, usłyszawszy jak w drugim pokoju wydawała ów dźwięk, pośpieszyłam do niej i spytałam: dlaczego to czyni? Odpowiedziała: „Ponieważ myślę o tem jak ona mnie kocha, i jak ją Kocham“. Z tego wnosić można, jak dla człowieka wykształconego jest rzeczą niezbędną wydawanie głosu i wyrażanie przy jego pomocy swych myśli. Wydawała Laura także takie dźwięki, które wyrażają same tylko uczucia. Zwrócił na nie dokładną uwagę professor Stanley Hall. Nauczycielki zeznały, że te objawy uczucia są najzupełniej bezwiedne, mimowolne i występują w pewnych tylko momentach, przy pewnych doznanych uczuciach; w innych warunkach się nie wydarzają.

Jeszcze kilka słów o moralnym i religijnym rozwoju Laury. Wogólności była ona wesoła i trzeźwa, chętnie bardzo bawiła się z innymi dziećmi i pieściła się z nimi. Swary bywały później, następnie jednakże stawały się coraz rzadszemi. Rozwinęła się w niej nadzwyczajne poczucie prawdy i pociąg do niej, a każdem kłamstwem się brzydziła. Tosamo można powiedzieć o uczuciu sprawiedliwości lub oburzenia. Niesłychaną była jej skromność niewieścia; dr Howe był jedynym mężczyzną, do którego miała nieograniczone zaufanie. Dickens powiada, że rękę jego natychmiast odepchnęła, gdy rękę żony jego przez czas dłuższy zatrzymała, pieściła się nią i z dziewczęcym zajęciem badała jej suknie. Do pięknych sukni miała wielką słabość i sama lubiła się w nie stroić. Zdaje się, że nigdy nikogo nie kochała i miłość znajdowała się u niej w zupełnem uśpieniu.

Wychowania religijnego podjął się dr Howe osobiście i zalecił nauczycielkom, aby ze wszystkimi w tym kierunku zapytaniami odsyłało ją do niego. W czasie jednakże długotrwałej podróży dyrektora po Europie wpojono w nią niektóre czysto dogmatyczne zasady, skutkiem czego stała się pod pewnym względem bigotką.

Wychowanie Laury Bridgeman przyniosło i innym istotom, znajdującym się w podobnym stanie, jak ona, wielką ulgę. Ślepego, głuchoniemego chłopca, będącego jej rówieśnikiem, który jednakże później od niej wstąpił do instytutu, ona sama wyuczyła mowy palcowej. Kilka podobnych wypadków miało miejsce w Szwecji, a ostatnie sprawozdania instytutu bostońskiego zawiadamiają o prawdziwie cudownem dziecku, Helenie Keller, które, podobnie jak Laura, było ślepe i nieme, lecz daleko pojętniejsze. Obecnie ma ono 9 lat i wychowują je według metody d-ra Howe. Postępy Helenki w naukach są prawdziwie wyjątkowe. Listy, których podobizny zachowano, przyniosłyby prawdziwy zaszczyt każdemu dziecku, będącemu w jej wieku.

Praca d-ra Howe przynosząca ulgę nieszczęśliwej ludzkości, nie była bezowocną, bo prócz wartości towarzyskiej posiada i doniosłą wartość naukową. W każdym razie spożytkowanie wiedzy ludzkiej w tym kierunku jest jednym z najpiękniejszych uczynków na tym świecie. Osładzać istotom los, którym natura poskąpiła swych szczerzych darów, dać im możność porozumiewania się



ze światem zewnętrznym, ze współbraćmi—to chyba jedno z najpiękniejszych zadań na tym świecie. Doprawdy, niepodobna nie korzystać przed wiedzą, która, jak usta Bileama, przekleństwo zamienia w błogosławieństwo.

J. S.

## Z bieżącej chwili.

— **Kassa pomocy dla osób pracujących umysłowo imienia D-ra Mianowskiego** przyznała z funduszu Jakóba Natansona na nagrody za dwie prace najwyższej wartości naukowej, dokonane w przeciągu ostatnich lat przez mieszkańców Królestwa Polskiego, tu urodzonych i ogłoszone drukiem polskim. Jedną przypadła p. Wł. Gosiewskiemu za prace matematyczne, a szczególnie za rozprawę: „O związku pomiędzy zasadą najmniejszego działania i najprawdopodobniejszym układem“; drugą p. Adolfowi Pawińskiemu za *Dzieje Ziemi Kuawskiej*, oraz akta historyczne do nich służące.

— **Dwie Wystawy** zapowiedział komitet *Muzeum Przemysłu i Rolnictwa* na początek roku przyszłego. *Wystawa nasion*, mająca otworzyć się d. 18 Stycznia 1890 roku a trwać do dnia 31 tegoż miesiąca, obejmie zarazem i wystawę roślin gospodarskich, nawozów pomocniczych, produktów nabiałowych i przemysłu domowego. Deklaracje na tę wystawę nadsyłać można po dzień 15 Grudnia roku bieżącego, okazy zaś po dzień 16 Stycznia r. p. *Wystawa wyrobów rzemieślniczych i przedmiotów drobnych wchodzących w zakres handlu wywozowego*, nie ma jeszcze ściśle określonego terminu otwarcia. Deklaracje co do wzięcia udziału w tej wystawie nadsyłać można od dnia 15 Grudnia do dnia 1 Lutego 1890 r.

Komitet *wystawy nasion* składają panowie: Prof. Alexandrowicz, Dr. Tad. Kowalski, Alex. Trylski, oraz sekr. Muzeum Ad. Kossowski.—Działów będzie mieć pięć: I. Nasion i wszelkich roślin gospodarskich. II. Nawozów Pomocniczych. III. Produktów nabiałowych. IV. Przyrządów do prowadzenia gospodarstwa nabiałowego. V. Wytworów przemysłu domowego wiejskiego. Przyjmowanie przedmiotów odbywać się będzie od dnia 14 do d. 16 Stycznia r. p.; tylko okazy, które należy przedstawić w stanie świeżości, przyjmowane będą do d. 18 Stycznia włącznie. Miejsce na wystawę będzie udzielane bezpłatnie, przecież koszt urządzenia i przyozdobienia przedmiotów wystawionych przypada na wystawców. Nagrody udzielane będą: Dyplomy zasługi i dyplomy uznania; medale złote, srebrne i brązowe, oraz listy pochwalne. Wystawcom właścicielom udzielane będą obok tego nagrody w postaci wyborowych nasion, udoskonalonych przyrządów gospodarczych i tym podobnych przedmiotów. Przez cały ciąg wystawy czynnym będzie przy kancelaryi Wystawy biuro, ułatwiające tak sprzedaż, jak nabywanie wystawionych przedmiotów. W sekcji rolniczej *Towarzystwa Przemysłu i Handlu* odbywać się będą przez czas trwania Wystawy posiedzenia w przedmiocie kwestyi dotyczących tych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, które reprezentowane będą na Wystawie. O nadsyłanie odnośnych pytań, które pod rozbiór powinny być wzięte, ziemianie są usilnie proszeni. Jest rzeczą bardzo pożądaną, aby wspomnienie

pytania zostały nadesłane po d. 15 Listopada r. b. do kancelaryi warszawskiego oddziału *Towarzystwa popierania przemysłu i handlu*.

— **W salonie Krywulfa** urządzoną zostanie w Listopadzie wystawa obrazów malarzy polskich dwóch szkół: Krakowskiej i Monachijskiej.

— **Wystawa obrazów malarzy czeskich** ma się ukazać w Warszawie dnia 15-go Grudnia: Impresario tej wystawy przenośnej będzie p. Wacław Spirak, Czech z Pragi.

— **Wystawa starożytności** wysłała 320 zaproszeń do wzięcia udziału w wystawie.

— **Wystawa Paryzka** wydała po czas połowy Września biletów płatnych za sumę 17.852.976 franków.

— **Tygodnik Powszechny** wskrzeszony do życia pod redakcją poety, p. Wikt. Gomulickiego, zapowiada w prospekcie, że „służyć będzie prawdzie i pięknu“. Ze są to dwa słońca ludzkości; pod ich promieniami powinno zrodzić się dobro.

— **Łódź** posiada pięć pism peryodycznych, z tych trzy niemieckie a dwa polskie: „Dziennik Łódzki“ i „Głosy kościelne“, organ katolickiego duchowieństwa. *Dziennik Łódzki*, bardzo dobrze redagowany, ma prenumeratorem 800; *Głosy kościelne* 300, zatem pisma polskie liczą razem 1.100 czytelników. Niemiecki „Lodzer Zeitung“ ma ich 2.400, „Lodzer Tageblatt“ 1.800, „Kirchenblatt“ 500—razem 4.700. „Lodzer Tageblatt“ jest redagowany przez Polaka, Krakowianina, Zonera, który rozpoczynając to wydawnictwo, przedstawiał je na wstępie, jako dążące do obznajomienia Niemców z krajem i ludźmi, wśród których się osiedlili: ze zwyczajami i obyczajami, z literaturą naszą; ale zadanie to, przeprowadzane rzeczywiście z początku, zeszło powoli na plan drugi, a dziś nie czuć go już wcale w dzienniku Zonera. Nie będąc nieprzychylnym społeczeństwu naszemu, pismo to stało się obojętnym na jego potrzeby i pomija milczeniem warunki, w których rozwijać by się powinna działalność przybyszów w stosunku do ziemi, na której się osiedlili.

Ponieważ w Łodzi najlicniejszą klasą Polaków są robotnicy, należałoby pomyśleć o założeniu dla nich pisma ludowego. Uczciwie i ciepło prowadzone, miałoby—jak twierdzi *Dziennik Łódzki*, którego redakcja musi znać stosunki i usposobienia miejscowe—powodzenie niewątpliwe. Niedługo, w r. 1881, wychodziła przy „Lodzer Zeitung“ „Gazeta Łódzka“ redagowana przez Wiktora Piątkowskiego, ale istnienie jej było krótkie. Chciała się wszystkim podobać i nie zadowolnili nikogo; zbyt licząca się z opinią niemiecką, nie zjednała sobie polskich czytelników. Gdyby ktoś stanął na opustoszałym miejscu i uczciwie, niezależnie pisał dla klas robotniczych, nie uległby temu losowi i miejsce to jest jeszcze do zajęcia: posterunek obywatelski i zarazem pole pracy dające się pomyślnie uprawiać. Redaktor „Lodzer Zeitung“ jest Prusak, były ulan, nienawidzący tych, na których ziemi osiadł.

— **W kongresie międzynarodowym prawa karnego** w Brukseli uczestniczył sędzia Moldenhawer z Warszawy i na jednym z zebrań kongressu czytał rozprawę: „O oświacie przymusowej nieletnich przestępców“.

— **Papież** nabył posąg Madonny, wykuty w białym marmurze przez rzeźbiarza naszego Brodzkiego. Leon XIII dał artyście pozwolenie aby to dzieło jego przed odstawieniem go do Watykanu wystawionem było w Warszawie, gdzie też Madonna przybędzie na *Wystawę Sztuk Pięknych* w Grudniu.

— **Verdi**, przebywający obecnie w kąpielach w Saint Dalmas, wykończył operę „Dzwonnik“. Treść libretta jest zapożyczoną z opery Belli-

ni'ego „Beatrice“, z pewną przecież zmianą. Bohaterka, tam obciążona winą, tu jest ofiarą niesprawiedliwej podejrzliwości.

— **W Paryżu** wykonano w Pałacu Przemysłu wielką kantatę Augusty Holmès: „Tryumf Rzeczypospolitej.“ Jestto patryotyczno-allegoryczna symfonia, na której inscenowanie rada miejska Paryża dała 300.000 fr. Słuchało jej 22.200 osób z zapalem, przeciw zdania sędziów co do jej wartości jako dzieła sztuki, są podzielone. Wchodziła tu w grę, obok uczuć patryotycznych, przenikających słuchaczy francuzkich, świetna wystawa, wielki przepych dekoracyi i rzadka doskonałość wykonania. W czasie uwertury draperye w górnej części sceny zapaliły się, lecz publiczność okazała rzadki w takich razach spokój, co uchroniło od katastrofy, jaką sprawadza w podobnych razach zamieszanie, wynikające z popłochu.

— **W Wenecyi** zajmują się urządzeniem konserwatorium dla muzyki kościelnej na wzór dawnych szkół włoskich z takimże przeznaczeniem, które wydały największych mistrzów i najwyższe arcydzieła muzyki włoskiej.

— **Z Zanzibaru** nadeszły nowe wiadomości o Stanley'u, według której opuszczając nadbrzeże jeziora „Albert Nyanza“, zwrócił się on od wschodniej strony wybrzeży „Victoria Nyanza“ ku południowi. Kierunek ten nie pozwolił mu jednak dobić się do celu, zmienić go też musiał i, kierując się ku północy, dostał się na zachodni brzeg jeziora. Emin Basza towarzyszył mu tutaj, gdzie zatrzymano się czas dłuższy, oczekując na nadejście pakunków, które Stanley w Msalala i w Tabora pozostawił. Niemniej już od kilku miesięcy opuścił on wybrzeże jeziora posuwając się w stronę Mumbassa. W końcu Października dosięgnie prawdopodobnie zachodnich wybrzeży Afryki. Emina Baszy niema już teraz przy nim, zawrócił w głąb lądu.

— **Podróżnik Afrykański** także, towarzysząc nieszczęśliwego Gordona Fricke, przybył do Hamburga po jedenastoletnim pobycie w Afryce Południowej. Przywiózł ze sobą bardzo bogate zbiory — skarby, nie tylko pod naukowym względem ziemioznawstwa.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 13-ty powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

**TREŚĆ:** Widzenie, (wiersz) przez M. I. — Adjutant króla jegomości, opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia napisał Mieczysław Krzywosąd-Kępieński.—List z Rzymu. — Z Nieśmiertelnymi przez F. M. Crawford'a.—Laura Bridgeman.—Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 13-ty i 14-ty powieści pod tytułem: **O własnej mocy**, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 25 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 20 Сентября 1889 года.